



Konwoje wyglądają
lepiej w świetle kamer...



ROZMOWA Z PREZESEM FUNDACJI POLSKIE CENTRUM POMOCY MIĘDZYNARODOWEJ WOJCIECHEM WILKIEM

Fundacja Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej udziela pomocy humanitarnej w Syrii i na Ukrainie. Realizuje programy polskiej pomocy rozwojowej w Nepalu, Tadżykistanie, Gruzji, Sudanie. Czy Polacy potrafią pomagać ludziom w potrzebie?

Polska należy do OECD, organizacji skupiającej najbogatsze państwa świata, i spośród wszystkich jej członków przeznacza na pomoc rozwojową najmniejszą kwotę *per capita*. Nawet kraje takie jak Czechy czy Słowacja w przeliczeniu na mieszkańca przekazują więcej. Pomoc zagraniczna jest ważnym i skutecznym elementem polityki zagranicznej oraz *soft power* – „aksamitnej władzy”, bardzo niedocenianej w Polsce. Trudno zrozumieć skalę udzielanej przez Polskę pomocy rozwojowej czy zagranicznej, gdyż nasze państwo przeznacza na ten cel dość wysoką kwotę – ok. 2,9 mld zł rocznie. Jednak prawie 3/4 tej sumy

to polska składka członkowska do Unii Europejskiej i jej funduszy pomocowych.

Czyli wprawdzie udzielamy pomocy, ale nie robimy tego „pod polską flagą”?

Tak, ale w ten sposób postępują również inne państwa. Polskie składki członkowskie do organizacji międzynarodowych wynoszą ok. 400 mln zł, a kwota w budżecie państwa przeznaczona na narodową strategię pomocy rozwojowej Polski to tylko ok. 120 mln zł. Jest to równowartość rewitalizacji pięciu parków w Warszawie lub jednego wiaduktu na autostradzie. Jak na kraj będący szóstą gospodarką Unii Europejskiej jest to kwota bardzo niewielka. Nic dziwnego, że nie widać wielu efektów polskiego zaangażowania w udzielanie pomocy zagranicznej.

W zeszłym roku eksperci OECD dokonali przeglądu polskiej polityki pomocowej. Ich konstatacja była taka, że zarządzanie pieniędzmi oraz monitorowanie ich wydawania przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i struktury pomocowe przebiegają bez zarzutu. Natomiast głównym problemem polskiej polityki pomocowej są małe środki finansowe.

Jesteśmy sąsiadem Ukrainy, kraju będącego ofiarą agresji, gdzie zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju pomoc, od polityki aż po rozwój szkolnictwa czy opieki zdrowotnej, jest gigantyczne. Polska może bardzo niewielkimi środkami wpłynąć w widoczny sposób na poprawę sytuacji, a także umocnić swój pozytywny wizerunek na Ukrainie, co otwierałoby drogę do pogłębionej współpracy gospodarczej czy politycznej.

Czyli mamy sprawny system pomocowy, ale wciąż brakuje nań pieniędzy?

System pomocowy składa się z dwóch elementów. Jednym z nich jest system jego finansowania – zgodny z priorytetami politycznymi rządu. Ten system w Polsce mamy, w dodatku dobrze skonstruowany, ale musi on mieć swoje odbicie w systemie wdrażania pieniędzy, czyli tzw. mocy wdrożeniowej. A moc wdrożeniowa jest taka, jakie są fundusze. Pamiętajmy, że rząd polski podjął zobowiązanie,

że do 2030 r. nasza pomoc zagraniczna – włączając w to składkę do Unii Europejskiej i jej stosunek do dochodu narodowego brutto (DNB) kraju – dojdzie do wskaźnika, który proponuje UE i OECD dla swoich członków, czyli 0,33% DNB. W przypadku Polski oznaczałoby to aż dziesięciokrotne zwiększenie pomocy zagranicznej realizowanej przez polskie instytucje państwowe i organizacje pozarządowe oraz w postaci pomocy dwustronnej, gdyż nasz wkład finansowy do funduszy Unii Europejskiej nie uległby znacznej zmianie. Aby mieć możliwość wdrożenia w perspektywie kolejnych 15 lat dziesięciokrotnie większych projektów i funduszy, polskie ministerstwa i organizacje muszą mieć odpowiednie zdolności wdrożeniowe. A te są obecnie bardzo skromne.

Środków jest mało, ale czy możemy mówić o jakiejś polskiej specyfice udzielania pomocy? Może, chociaż mamy skromne środki, wydajemy je lepiej niż inni?

Główną polską umiejętnością jest na razie realizowanie ciekawych, innowacyjnych projektów przy wykorzystaniu właśnie bardzo skromnych funduszy. Te projekty mogłyby być przynajmniej dziesięciokrotnie większe i przynosić jeszcze lepsze efekty. Polskie organizacje, żeby mogły działać przy bardzo niewielkiej skali operacji, wymuszonej ograniczonymi

środkami, muszą stosować sposoby, jakich inne organizacje jeszcze nie odkryły. To jest nasza siła: robić coś, co jest potrzebne, pomocne, widoczne, a jednocześnie – ze względu na bardzo wysoką konkurencję i niewielkie środki – bardzo innowacyjne, za kwotę kilkukrotnie niższą, niż robią to organizacje z USA czy Wielkiej Brytanii.

Czy sposób udzielania pomocy podlega jakiemuś audytowi międzynarodowemu? Czy ktoś ocenia, w jaki sposób Polacy, Francuzi, Niemcy czy Unia Europejska tę pomoc realizują?

Sposobów pomagania jest bardzo dużo. Mówimy o dwóch głównych rodzajach pomocy – humanitarnej i rozwojowej. Pod kątem finansowym są one sprawdzane nawet przez firmy audytorskie. Ich efekty, szczególnie jeśli chodzi o pomoc rozwojową, powinien ocenić przede wszystkim rząd przyjmującego ją państwa. Bardzo dobrym wskaźnikiem efektywności jest to, czy projekty są następnie kontynuowane lub rozszerzane. Na przykład jednym z bardzo udanych projektów polskiej pomocy rozwojowej w Afryce jest prowadzone przez PCPM szkolenie straży pożarnej w Etiopii i Kenii. Rozpoczęliśmy je na bazie projektu wolontariatu zagranicznego MSZ o wartości 40 tys. zł. Obecnie obejmuje on trzy hrabstwa Kenii (zamieszkałe przez 4,5 mln osób), które

na bazie polskiego know-how o wartości 1,1 mln zł zainwestowały miliony dolarów w straż pożarną – zakup kilkudziesięciu wozów strażackich, budowę nowych strażnic, zatrudnienie nowych strażaków.

Ostatnio do Europy usiłują się przedostać setki tysięcy ludzi. Co Pana zdaniem jest głównym powodem kryzysu uchodźczego?

Trzeba powiedzieć w tym miejscu kilka słów o genezie kryzysu syryjskiego i kryzysu migracyjnego w Europie. W przeszłości dramatyczne wydarzenia rozgrywane się tysiące kilometrów od Europy mogliśmy obserwować na ekranach telewizorów, czytać o nich w gazetach, oddychając z ulgą, że dzieje się to gdzieś daleko, za siedmioma rzekami i siedmioma górami... Dziś prawie każdy kryzys na świecie ma już globalny wymiar i globalne konsekwencje. Wojna domowa w Syrii wybuchła w 2011 r. Spowodowała kryzys migracyjny, który zagroził jednoci Unii Europejskiej, wspólnoty integrującej najwyżej rozwinięte państwa świata. Doświadczamy jego konsekwencji bardzo bezpośrednio.

Uchodźcy z Syrii stanowili nieco ponad połowę uciekinierów. Spośród migrantów, którzy napływali przez wyspy greckie i potem szlakiem bałkańskim do Europy, aż 23% – wg statystyk UNHCR – stanowili Afgańczycy. I nie byli to tylko uciekinierzy z Afga-

nistanu. W ogromnej liczbie byli to afgańscy uchodźcy, którzy przed trwającą w ich kraju wojną schronili się w sąsiednim Pakistanie. W roku 2015 rząd Pakistanu zdecydował, że będzie ich przymusowo wysiedlał do Afganistanu, przez co część z nich podjęła próbę ucieczki do Europy. To pokazuje, że decyzja rządu Pakistanu, oddalonego od nas o 5000 km, może mieć bezpośredni wpływ na sytuację w Unii Europejskiej.

Analizując migrację, możemy wyróżnić dwa rodzaje wywołujących je czynników: tzw. *push factors* i *pull factors*. *Push factors* to czynniki, które inicjują migrację z danego miejsca. W przypadku Syrii takim czynnikiem są oczywiście trwająca tam wojna domowa, łamanie praw człowieka i zapaść gospodarcza. Ale to, dokąd dotrze fala migracji, w dużym stopniu zależy od *pull factors*, czyli czynników ją przyciągających. Unia Europejska przyciąga brakiem wspólnej polityki migracyjnej i nadal stosunkowo otwartymi granicami. Nie mamy także spójnego systemu absorpcji siły roboczej, odpowiadającego potrzebom europejskiego rynku pracy. Skąd ten deficyt? Jednym z głównych problemów Unii są wysokie koszty pracy. Dlatego politycy europejscy byli przeświadczeni, że jeżeli ktoś chce pracować w Europie za niższe stawki, to dla europejskiej gospodarki będzie to zjawisko korzystne. W efekcie Unia cały czas żyła w przekonaniu,

że ktokolwiek dotrze do Europy, jakoś się w jej gospodarce odnajdzie. Jak pokazują ostatnie lata, nie jest to prawda i część migrantów nie ma wystarczającego wykształcenia i umiejętności zawodowych, by szybko i efektywnie uzupełnić niedobory rąk do pracy.

Mamy więc wspólny rynek bez wspólnej polityki migracyjnej?

Tak. Co więcej, na tym rynku potrzebujemy rąk do pracy w bardzo określonych zawodach. Bez zorganizowanego systemu migracyjnego Unia Europejska przyciąga jednak nie tych, których potrzebuje, ale przypadkowe osoby, a w rzeczywistości – wszystkich, którzy tylko zdołają do niej dopłynąć. Nie działa w sposób strategiczny i przemyślany, lecz jak wielki odkurzacz. Dlatego migranci docierający do Europy nie są często w stanie znaleźć pracy umożliwiającej awans społeczny i popadają w strukturalną zależność od pomocy socjalnej lub czarnego rynku pracy, zawsze zbliżonego do świata przestępczego, który zazwyczaj „zarządza” nielegalnym zatrudnieniem.

Czy możemy tę sytuację zilustrować jakimś przykładem?

Oczywiście. Na przykład hiszpańskie rolnictwo opiera się na pracownikach sezonowych. Potrzebuje ich oczywiście głównie w lecie. Ci pracownicy sezonowi pochodzą przede

wszystkim z północnej Afryki. Dlaczego by nie stworzyć systemu, który pozwoli tym ludziom pracować w UE legalnie przez sześć miesięcy? Później mogliby oni przez sześć miesięcy mieszkać u siebie. Nie tylko spędziliby czas ze swoimi rodzinami, lecz także wydawaliby pieniądze w rodzinnych stronach, przyczyniając się do ich rozwoju. Dramatem obecnego kryzysu migracyjnego – poza śmiercią wielu ludzi próbujących dostać się do Europy – jest również to, że w tę podróż wyruszają najbardziej prężni, najbardziej inteligentni, najbardziej przedsiębiorczy ludzie. Trafiają oni do krajów rozwiniętych, gdzie nie ma zapotrzebowania na ich formalne kompetencje, nie mają więc możliwości wykorzystania swojego potencjału, z którego nie skorzysta też ich ojczyzna. Można powiedzieć, że w ten sposób ludzkość ponosi potrójne straty. Traci Europa, tracąc ojczyzny tych migrantów, tracą wreszcie oni sami. Nie zmieniają się także warunki popychające kolejne pokolenia do szukania swojej szansy w migracji.

Zatem do kryzysu migracyjnego 2015 r. przyczyniła się decyzja władz Pakistanu o wydaleniu uchodźców afgańskich. Ale co było bezpośrednią przyczyną ucieczki Syryjczyków? Wszak wojna domowa trwała w tym kraju już od kilku lat.

W Syrii kryzys migracyjny był skorelowany z początkiem interwen-

cji rosyjskiej. Proszę pamiętać, że fala migracyjna ruszyła we wrześniu 2015 r., w tym samym momencie, gdy Rosjanie rozpoczęli bombardowania sił opozycji, Iran zaś skokowo zwiększył swoje zaangażowanie militarne w wojnę w Syrii. W drugiej połowie 2015 r. z Libanu wyjechało 400 tys. Syryjczyków, choć liczba uchodźców zmniejszyła się nie więcej niż o 50 tys. osób. 350 tys. Syryjczyków przejechało przez Liban w ciągu jednego dnia, docierając na lotnisko albo do portu promowego, z którego szły promy do Turcji. Jestem przekonany, że zdecydowana większość Syryjczyków, którzy wówczas ruszyli na Zachód, to nie byli tacy uchodźcy, jakimi opiekujemy się w Libanie, tym bardziej że ich liczba praktycznie się nie zmieniła. Ludzie, którzy są pod naszą opieką, po prostu nie mogli sobie na to pozwolić. Podróż do Europy to wydatek rzędu 2–2,5 tys. dol. na osobę. Tyle trzeba zapłacić przemytnikom. Tymczasem większość uchodźców syryjskich nie ma nawet 50 dol., aby kupić lekarstwa. Ludzie, którymi się opiekujemy w Libanie, żyją w skrajnym ubóstwie, nie dysponują funduszami umożliwiającymi długą podróż.

Natomiast interwencja rosyjska w Syrii była spowodowana najprawdopodobniej ryzykiem militarnego załamania rządu syryjskiego, które wówczas stawało się bardzo realne. I najprawdopodobniej Syryjczycy,

którzy mieszkali na terenach kontrolowanych przez rząd Asada, wiedzieli, co się dzieje. Zdawali sobie sprawę z tego, że gdy reżim Asada upadnie, ich rodziny czeka śmierć lub prześladowania ze strony islamistów. Ten strach wywołał ucieczkę syryjskiej klasy średniej – ludzi w większości wiernych Asadowi.

Czyli ci, którzy uciekali, nie uciekali przed reżimem Assada, lecz przed widmem jego upadku?

To moja hipoteza. Pewnych i jednoznacznych danych nie znamy. Nie wiemy, kto dokładnie uciekał, bo nikt ich dobrze nie zbadał już po dotarciu do Europy. W przypadku Syrii pojawia się jeszcze jeden bardzo po-

ważny problem prawnomiędzynarodowy. Zgodnie z konwencją genewską uchodźca ma prawo przekroczyć nielegalnie granice kraju, z którego ucieka i w którym grozi mu śmierć lub prześladowanie. To nielegalne przekroczenie granicy zwyczajowo nie jest penalizowane (karane). Sama konwencja genewska niestety nic nie mówi o niepenalizowaniu nielegalnego przekroczenia kolejnej granicy, która w każdym kraju jest przestępstwem. Status uchodźcy został stworzony, by zabezpieczyć uciekinierów w najbliższym ich ojczyźnie bezpiecznym kraju, lecz niestety jest obecnie często wykorzystywany jako przepustka do migracji do dowolnie wybranego kraju na świecie.



W przypadku Syryjczyków sprawę dodatkowo komplikuje wykładnia UNHCR, która nadaje im status tzw. uchodźcy *prima facie*, czyli uchodźcy zbiorowego. Każdy obywatel Syrii, który znajduje się poza terytorium Syrii, a przebywał w niej 15 marca 2011 r., czyli w momencie wybuchu rewolucji, jest uchodźcą. Więc *de facto* każdy Syryjczyk jest uchodźcą, niezależnie od tego, czy w miejscu swojego zamieszkania jest realnie prześladowany, czy nie, i czy toczą się tam działania wojenne, czy nie.

Czyli chce Pan powiedzieć, że ludzie, którzy przybywali do Europy w 2015 r., z punktu widzenia litery prawa w zasadzie nadużywali statusu uchodźcy?

Tak to wygląda z punktu widzenia organizacji humanitarnej. To duży problem, gdyż organizacje humanitarne nie są w stanie pomóc wszystkim. Dlatego pomagamy osobom będącym w najgorszej sytuacji życiowej, osobom, którym grozi śmierć lub cierpienie. W przypadku tak długiego kryzysu oznacza to, że powinniśmy pomagać najuboższym Syryjczykom, a ci pozostali na Bliskim Wschodzie. PCPM w Libanie pomaga uchodźcom syryjskim żyjącym w największym ubóstwie, odbiorcy polskiego programu pomocowego są zaś wybrani we współpracy z UNHCR.

Przed wybuchem rewolucji średnia pensja w Syrii wynosiła

130 dol. miesięcznie. Osoby, które dotarły do Europy, żadną miarą nie były najbiedniejszymi uchodźcami, gdyż każda z nich musiała zapłacić 2–2,5 tys. dol., żeby tutaj dotrzeć. Najbiedniejsi uchodźcy syryjscy zostali w Turcji, Libanie, Jordanii, gdyż nie stać ich na ucieczkę. I dlatego apelujemy, by o nich nie zapominać. Apelujemy, aby nie koncentrować się na problemie uchodźców w Europie, gdyż w ten sposób – nieświadomie – ograniczamy możliwości pomocy najbiedniejszym i najbardziej potrzebującym. Tym bardziej że pomoc humanitarna udzielana na Bliskim Wschodzie jest 3–4 razy tańsza od udzielanej uchodźcom w Polsce, a w przypadku Niemiec jest to różnica kolosalna. Na przykład tegoroczny budżet Apelu Humanitarnego (Humanitarian Appeal), czyli planowanych działań ONZ oraz organizacji pozarządowych współpracujących z ONZ, takich jak PCPM, dla całego regionu syryjskiego to 9 mld dol. Natomiast w 2015 r. według danych niemieckiego instytutu Ifo [Ifo Institute for Economic Research], które są dość miarodajnym źródłem, nakłady samych Niemiec na pomoc socjalną dla uchodźców i migrantów w tym kraju w 2015 r. wynosiły 20 mld euro. Połowa tych środków pokryłaby w 100 procentach potrzeby wszystkich programów pomocowych realizowanych na Bliskim Wschodzie.

Polski rząd mówi to samo, co Pan. Argumentuje, że należy przekierować międzynarodową pomoc w stronę regionu, gdyż to tam ludzie najbardziej potrzebują pomocy. Nie zawsze udawało się przekonać partnerów europejskich do takiego sposobu myślenia. Pan uważa, że to jest właściwa polityka?

Musimy niestety rozróżnić deklaracje europejskich polityków i pragmatykę ich politycznych zachowań i realiów budżetowych. Wszędzie na świecie wydatki na pomoc zagraniczną są zawsze na końcu listy priorytetów budżetowych. Środki te trafiają bowiem za granicę, przez co nie da się za nie kupić politycznego poparcia wyborców. Dlatego łatwiej jest politykom podjąć decyzję o udzielaniu pomocy we własnym kraju niż poza jego granicami. W końcu środki na pomoc społeczną i humanitarną wypłacane w Europie trafiają z powrotem do tutejszych usług i handlu. Tymczasem pomoc udzielana na Bliskim Wschodzie jest najbardziej potrzebna, ale przynosi mniej politycznych korzyści rządowi państw Unii Europejskiej. Nie jest przypadkiem, że administracja prezydenta Donalda Trumpa chce finansować wzrost wydatków na obronę poprzez redukcję funduszy na amerykańską pomoc dla zagranicy.

Zajmuje się Pan udzielaniem pomocy humanitarnej w imieniu

społeczności międzynarodowej. Co to dla Pana oznacza w praktyce? Z punktu widzenia pracowników organizacji i instytucji, którzy w sytuacjach kryzysów humanitarnych muszą pomagać na miejscu?

PCPM pracuje w libańskim regionie Akkar, który przylega bezpośrednio do granicy z Syrią. Pracujemy tam od lipca 2012 r., czyli już ponad 4,5 roku. Gdyby Pan przyjechał do jednej z miejscowości i spytał któregośkolwiek uchodźcy syryjskiego, do kogo musi pójść, aby uzyskać pomoc prawną, powie: „Do Norwegów”. „Do kogo musisz pójść, jeżeli przecieka ci dach i potrzebujesz remontu mieszkania?” – „Do Francuzów”. „Do kogo musisz pójść, jeżeli brakuje ci pieniędzy na opłacenie mieszkania?” – „Do Polaków”. To jest społeczność międzynarodowa. To jest wspólny wysiłek w tym samym kierunku, czyli pomocy i wsparcia dla uchodźców syryjskich. Widzimy to na różnych poziomach. Jeżeli nasi pracownicy odwiedzają domy uchodźców syryjskich – nawet tych, u których nigdy nie byliśmy, bo dopiero chcemy ich przyjąć do naszego projektu – pukają do drzwi i mówią: „Proszę otworzyć, organizacja polska”. I te drzwi od razu się otwierają, i Syryjczyk od razu wie, skąd jest ta organizacja i że jako Polacy zajmujemy się w tym regionie wspieraniem uchodźców syryjskich, aby mogli oni opłacić czynsz za mieszkanie.

O ile można mieć duże wątpliwości co do skuteczności ONZ w innych dziedzinach, to koordynacja pomocy humanitarnej i sprzężenie wysiłków w jednym celu, w ramach jednej strategii humanitarnej, funkcjonują bardzo sprawnie. Organizacje działają wspólnie, ramię w ramię. Dzięki różnego rodzaju mechanizmom koordynacyjnym nie wchodzimy sobie w drogę. Przekazujemy sobie nawzajem potrzebujących: ustalamy, jaka pomoc danej osobie jest najbardziej potrzebna, i wskazujemy, która organizacja w tej dziedzinie się specjalizuje, kto może pomóc lepiej.

Taka koordynacja następuje także poprzez spotkania tematyczne w ramach tzw. sektorów pomocy humanitarnej. Organizacje z wielu krajów i o różnym charakterze uzgadniają wspólne kryteria i wytyczne udzielania pomocy. Ma to ciekawe i bardzo konkretne zastosowanie, np. w północnym Libanie, gdzie pracujemy. Kilka lat temu wszedłem do mieszkania uchodźców syryjskich, gdzie na podłodze siedział trzyletni chłopczyk z maską do nebulizatora na twarzy. Dowiedziałem, że został on zatruty bronią chemiczną na przedmieściach Damaszku i od tego czasu ma problemy z płucami. Ze względu na współpracę w ramach organizacji humanitarnych, które są pewnego rodzaju ucieleśnieniem wspólnoty międzynarodowej, mogliśmy tę konkretną rodzinę skierować po pomoc do

amerykańskiej organizacji IMC, czyli International Medical Corps, która pomaga uchodźcom syryjskim w ciężkich przypadkach zdrowotnych. My natomiast, z drugiej strony, dostajemy bardzo dużo próśb o pomoc w zakresie naszego sztandarowego działania, czyli wspieraniu uchodźcy syryjskiego w wynajmowaniu mieszkania. Jeśli chodzi o edukację dzieci, pomogą mu organizacje norweskie czy duńskie, które działają pod egidą i koordynacją UNHCR. Organizacje humanitarne działające na Bliskim Wschodzie mają zbyt mało pieniędzy. Środki, jakimi dysponują, zaspokajają zaledwie 40–45% potrzeb. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na ich marnotrawienie i duplikowanie pomocy.

Czy Pana zdaniem Unia Europejska jest widoczna na Bliskim Wschodzie? Czy możecie także korzystać z finansowania ze środków Unii Europejskiej?

Unia Europejska jest przede wszystkim największym donatorem wspierającym pomoc humanitarną dla uchodźców syryjskich na Bliskim Wschodzie. Skandaliczne jest to, że tej pomocy w żadnym stopniu nie finansują kraje Zatoki Perskiej. Robiły to w latach 2013–2014. Obecnie kwoty są przekazywane na pomoc humanitarną pod egidą ONZ, a tam wkład finansowy krajów Zatoki Perskiej jest bardzo mały.

Dlaczego?

Kraje Zatoki Perskiej mają tendencje do przekazywania dość dużej części pomocy finansowej kanałami nieoficjalnymi organizacjom, które nie współpracują z ONZ i nie do końca ich finansowanie może być widoczne w systemach ONZ-owskich. Często nie wiemy, kto do tych organizacji należy. Z drugiej strony donatorzy z krajów Zatoki Perskiej zostali postawieni przed faktem wojny w Jemenie, gdzie potrzeby są ogromne i przerastają nawet te w Syrii. W tę wojnę bezpośrednio są zaangażowane państwa takie jak Arabia Saudyjska czy Zjednoczone Emiraty Arabskie. Niestety Unia Europejska często informuje o zaangażowaniu finansowym w danym kraju, podając do wiadomości tylko informacje o projektach Komisji Europejskiej. Łączna wartość pomocy od wszystkich 27 krajów często wielokrotnie przekracza zaangażowanie finansowane bezpośrednio z Brukseli. Polska powinna podnieść ten problem na forum Unii Europejskiej, gdyż Unia to przecież więcej niż Komisja Europejska.

To także państwa członkowskie.

Tak, i to powinniśmy pokazać. Na przykład w roku 2016 Komisja Europejska i jej fundusze przekazały na pomoc dla Syrii i krajów ościennych (Liban, Jordania i Turcja) łącznie 461 mln dol. W tym samym roku kra-

je członkowskie przekazały do tych samych krajów 992 mln dol. – są to oficjalne statystyki ONZ. Powinniśmy pokazywać łączny wkład Komisji Europejskiej i wszystkich państw członkowskich. W ten sposób okazuje się, że Europa pomaga Syrii i jej sąsiadom w skali nie 450 mln dol., ale trzykrotnie większej (1,4 mld dol.).

Jednym z elementów planowania działalności organizacji pomocowych, udzielających pomocy humanitarnej, jest też antycypacja tego, co może się zdarzyć w przyszłości. Czy Pana doświadczenie wskazuje, na co powinniśmy się przygotować? Co nas może wkrótce czekać?

Z punktu widzenia polskiej polityki pomocowej wydaje mi się, że powinny nas interesować trzy kwestie, które zaczynają się rysować na horyzoncie. Po pierwsze, wojna w Syrii nie będzie trwała wiecznie i niedługo zostanie znalezione jakieś jej rozwiązanie – wojskowe czy polityczne, trwałe czy tymczasowe. Najprawdopodobniej rząd w Damaszku utrzyma kontrolę jeżeli nie nad większością terytorium Syrii, to na pewno nad jego częścią zamieszkaną przez większość ludności. W tym momencie przed Unią Europejską stanie pytanie: co dalej? Jeszcze w 2015 r., według statystyk ONZ, jedna trzecia budynków w Syrii była zburzona lub tak uszkodzona, że nie nadawała się do zamieszkania.

Gospodarka syryjska została całkowicie zniszczona. Czy zatem Unia Europejska włączy się w odbudowę Syrii, czy nie?

Jeżeli nie, to zapewne Syria będzie szukać środków na wsparcie tej odbudowy gdzie indziej. Kraje takie jak Rosja czy Iran nie dysponują środkami finansowymi porównywalnymi z pomocą udzielaną przez Unię Europejską. Jeżeli Unia nie zdecyduje się na duże wsparcie finansowe odbudowy Syrii, pojawi się realne niebezpieczeństwo powstania państwa na pół upadłego lub upadłego. Będzie ono generowało na Bliskim Wschodzie niestabilność, a nie należy zapominać, że graniczyć ono będzie z Turcją i kilkoma innymi państwami.

Jeszcze w 2015 r. największe organizacje humanitarne na świecie apelowały – a my przyłączyliśmy się nieoficjalnie do tego apelu – o wsparcie krajów Bliskiego Wschodu czymś, co można by porównać do nowego planu Marshalla. Wówczas dotyczyło to kwestii uchodźczych. Jeżeli Liban albo Jordania otrzymałyby konkretną pomoc gospodarczą, która wygenerowałaby nowe inwestycje i nowe miejsca pracy, można by stworzyć podstawę do rozmów z rządami tych krajów, aby z tych miejsc pracy do pewnego stopnia mogli skorzystać także uchodźcy syryjscy. Byłoby to dużym zyskiem dla krajów goszczących tych uchodź-

ców, a także dla samych uchodźców. Dotąd nie udało się zorganizować potrzebnego wsparcia gospodarczego dla Libanu czy Jordanii. Liban, mający 4,5 mln mieszkańców, gości ponad 1 mln uchodźców z Syrii. To tak, jakby Polska gościła 8 czy 9 mln uchodźców z Ukrainy – nie poradziłaby sobie z katastrofą o takiej skali, cóż dopiero państwa o dużo słabszej gospodarce.

Jeżeli więc zostaną podjęte wysiłki na rzecz odbudowy Syrii, nie można zapomnieć o krajach, które teraz goszczą uchodźców. Skutki ich obecności dla gospodarki tych państw i ich życia społecznego są ogromne. Na Bliskim Wschodzie jest teraz 5 mln uchodźców. Szybko nie wrócą oni do swoich domów, gdyż większość z nich nadal boi się prześladowania ze strony władz oraz grup zbrojnych. Prawo międzynarodowe zabrania zaś przymusowego wysłania uchodźców do krajów, gdzie mogą być poddani prześladowaniu (zasada *non-refoulement*). Sytuacja w Syrii zapewne przez jeszcze wiele lat będzie zbyt niestabilna, aby ten warunek bezpiecznego i dobrowolnego powrotu był spełniony. Więc perspektywa dalszej obecności 5 mln uchodźców w krajach graniczących z Syrią w najbliższej perspektywie jest bardzo realna.

Drugim zagrożeniem jest to, że w Azji i Afryce wzrasta liczba państw, które określilibyśmy jako upadłe. To

już nie jest tylko Somalia. To już jest także Sudan Południowy. To są niektóre państwa Sahary czy przynajmniej regiony, które pozostają poza kontrolą władz, na przykład region zamieszkały przez Tuaregów w Mali. To są regiony na Bliskim Wschodzie. Otwartym pytaniem pozostaje, jaka będzie przyszłość obszarów na terytorium Syrii, zachodniego Iraku, więc powstają...

... „ogniska niestabilności”?

Swego rodzaju polityczne „czarne dziury” na mapie świata. Miejsca, które nie są w stanie wygenerować dość potencjału politycznego i wojskowego, aby efektywnie sprawować kontrolę nad swoim nominalnym terytorium. To nie tylko Somalia, ale coraz więcej krajów regionu Sahelu oraz niektóre kraje Bliskiego Wschodu. Będą one zarażać swoją niestabilnością państwa wokół siebie, co zmniejszy ich możliwości gospodarcze, a w rezultacie będzie sprzyjało większym migracjom. Te „czarne dziury” będą promieniować i się rozprzestrzeniać. Największą z nich będzie prawdopodobnie Jemen, który liczy ponad 20 mln mieszkańców. Państwo to już dziś jest pod każdym względem upadłe – a za kilka lat zabraknie tam nawet wody pitnej ze względu na wyczerpanie się jej podziemnych zasobów.

Trzecią kwestią ważną dla Polski jest wsparcie dla Ukrainy. Mam wraże-

nie, że z niezrozumiałych dla mnie powodów polska pomoc rozwojowa dla tego kraju zatrzymała się na bardzo niskim poziomie. „Strategiczne partnerstwo” wyrażone w kategoriach pomocy rozwojowej ma w tym roku wartość 2,5 mln dol. Jakie to partnerstwo?! Polska musi wspierać Ukrainę nie tylko ze względu na dobrosąsiedzkie stosunki czy nasz interes polityczny i strategiczny, ale przede wszystkim dlatego, że nasza pomoc może przynieść tam duże efekty pomimo niewielkich nakładów. Na przykład w 2016 r. PCPM za 1 mln zł, czyli 250 tys. dol., wyremontował całkowicie dziesięć szkół na wschodniej Ukrainie, a kolejnych dwadzieścia wyposażył w ławki i pomoce naukowe. Polskie zaangażowanie na wschodniej Ukrainie jest bardzo pozytywnie postrzegane. Nasza Fundacja niosła pomoc humanitarną bezpośrednio przy linii frontu w Donbasie do czerwca 2016 r., gdzie mieliśmy bezpośrednio do czynienia z różnego rodzaju jednostkami ukraińskimi, regularnymi i ochotniczymi, i nigdy nie mieliśmy żadnych problemów. Jeżeli chcemy zachować dobry wizerunek Polski na Ukrainie i przeciwdziałać skutkom konfliktu hybrydowego, to zaangażowanie musi być zwiększane. Bo niestety za kwotę 9 mln zł jesteśmy w stanie wyremontować szkoły tylko w jednym regionie.

Na okładce niniejszego numeru „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” zamieściliśmy zdjęcie wygaszonej 14 grudnia 2016 r. wieży Eiffla. Był to gest solidarności z mieszkańcami Aleppo. Co Pan sądzi o takich gestach?

Jakiś czas temu widziałem na Facebooku taką grafikę: do zniszczonego Aleppo przyjechała ciężarówka z „lajkami” i wysypała je mieszkańcom. Powiedziano: „w ramach pomocy przywieźliśmy wam lajki z Facebooka”.

Karykatura?

Fotomontaż, ale pokazuje to, że nie o to chodzi. Obecnie pomoc humanitarna przy tak ogromnych potrzebach, szczególnie na Bliskim Wschodzie, ma bardzo konkretny wymiar finansowy. Nie tylko na poziomie jednego projektu polskiego, ale także całościowo. Potrzebujemy zaangażowania politycznego, które umożliwiłoby finansowanie ze środków budżetowych. Na przykład pakiet podstawowej pomocy humanitarnej realizowanej przez PCPM dla 10 tysięcy uchodźców w Libanie to koszt 1,2 mln zł miesięcznie. Środków na kilka miesięcy takiej pomocy nie można pozyskać w drodze zbiórki publicznej.

Z drugiej strony potrzebujemy bardzo zaangażowania i wsparcia prywatnych sponsorów, donatorów indywidualnych, które pozwoliłoby nam i innym organizacjom humani-

tarnym na zwiększenie tej pomocy oraz szybkie odpowiadanie na nowe potrzeby. Jest to szczególnie ważne w okresach zimowych, kiedy potrzeby humanitarne na Bliskim Wschodzie są największe, oraz w przypadku powoli narastających kryzysów, jak katastrofalny głód w Południowym Sudanie, Somalii i Jemenie. Bardzo pozytywnym przykładem takiego zaangażowania jest realizowana obecnie w Warszawie, chociaż niezbyt nagłośniona, kampania „Warszawa dla Aleppo”. Jeśli chcemy pomóc osobom dotkniętym wojną, najlepszym sposobem jest wsparcie finansowe, nawet niewielkie. Minęła już era pomocy humanitarnej w postaci pomocy rzeczowej. Już nie są organizowane konwoje z pomocą humanitarną.

Z wyjątkiem Rosji.

Właśnie. Konwoje wyglądają lepiej w świetle kamer, ale obecnie pomoc humanitarna jest „monetyzowana”. Jej odbiorcy otrzymują coś, co w pewnym stopniu przypomina pomoc socjalną i pozwala im przeznaczyć te środki na priorytetowe potrzeby, przede wszystkim zakup żywności i zapewnienie dachu nad głową. W ten sposób można taniej i bardziej efektywnie nieść pomoc osobom, które przez wiele miesięcy i lat nie mogą powrócić do swoich domów. A taki jest właśnie charakter współczesnych konfliktów.



Potrzebujecie więcej ludzi, ochotników? Można się do was zgłosić, zaoferować własną pracę?

Bardzo zapraszamy do współpracy osoby, które mają doświadczenie w pracy na Bliskim Wschodzie i znają język arabski. Uchodźcy syryjscy

w Libanie nie znają w ogóle angielskiego. I to jest kolejny dowód na to, że migranci z Syrii udający się do Europy nie byli typowymi przedstawicielami społeczeństwa syryjskiego – ci ludzie mówili po angielsku i mieli wyższe wykształcenie.

Rozmawiał Sławomir Dębski